

**F A K T Y                      I                      P R O B L E M Y**

PAWEŁ ĆWIKŁA  
*Uniwersytet Śląski w Katowicach*

**KAMERDYNER W SŁUŻBIE HISTORII**

Są pojęcia, które powołane niegdyś do życia w konkretnym kontekście historycznym, społecznym i intelektualnym, odrywają się od tego „matecznika” i zaczynają funkcjonować samodzielnie. Nie zważając na bariery miejsca i czasu posługują się nimi ludzie, którzy niejednokrotnie mają dość mgliste pojęcie o słów tych pierwotnym znaczeniu. Brzmia one jednak na tyle atrakcyjnie, że warto wtrącić je tu i ówdzie — już to bo „pasują” do omawianej sytuacji, już to dla wywołania wrażenia. Można także pojęć tych używać mając pełną świadomość ich pochodzenia, co nie musi zresztą unieważniać wyżej wymienionych motywacji.

Są więc określenia „klasyczne”, które jak ludowe porzekadła lub frazy wielkich postaci w historii przydają szerszego znaczenia konkretnym, współczesnym społecznym zachowaniom. Jeśli tylko, oczywiście, da się je bez pretencji do opisu tych zachowań zastosować. Pojęcia służą relacjonowaniu rzeczywistości, ale też i jej tworzeniu. Ta banalna wszak konstatacja winna jednak być, jak sędzę, często powtarzana. A to dlatego, że tworzenie rzeczywistości zawsze stoi blisko jej rozumienia. Konstruowanie nowych kategorii pojęciowych służy budowaniu wiedzy o świecie społecznym i rozwijaniu świadomości własnego w nim uczestnictwa. Taką samą funkcję może pełnić posługiwanie się pojęciami już istniejącymi, mającymi wybitny „rodowód”. To właśnie pragnę zaproponować: swoiste użycie Hegłowskiego „kamerdynera historii”, by pokazać, jak może określenie to funkcjonować, zarówno gdy pozostanie się wiernym jego oryginalnemu znaczeniu, jak i wówczas, gdy poddane ono zostanie swoistej reinterpretacji — chwilami, być może, nawet dość swobodnej. Pozostaje tylko nadzieja, że w tym wszystkim zostało jednak zachowane — jak powiada Umberto Eco — kryterium oszczędności.

---

Adres do korespondencji: Uniwersytet Śląski, Instytut Socjologii, ul. Bankowa 11, 40-007 Katowice; pawelcwikla@interia.pl

\*

Bywają ludzie obdarzeni — pisał Max Weber (2002, s. 181 i nast.) — „charyzmatycznymi łaskami”. Uznawani są za posiadających właściwości czy siły niedostępne wszystkim, niezwykle, nadludzkie, a nawet nadprzyrodzone. Charyzma jest cechą niepowседневną, która wiąże się, oczywiście, z uznaniem jej przez osoby podlegające panowaniu wyjątkowej jednostki. Wyjątkowość ta musi być potwierdzana, by charyzma nie spowszedniała; by to osobiste, pełne wiary oddanie przywódcy, zrodzone „z entuzjazmu lub nieszczęścia i nadziei” (Weber 2002, s. 182), miało się wciąż czym karmić. Cóż to jednak znaczy: być przywódcą? „Dla pojęcia tego — pisze Weber (2002, s. 181) — całkowicie obojętne jest naturalnie to, jak wyglądałaby «obiektywnie» trafna ocena tej cechy [charyzmy] z etycznego, estetycznego lub innego punktu widzenia, chodzi wyłącznie o to, jak jest ona faktycznie oceniana przez osoby podlegające charyzmatycznemu panowaniu, przez «zwolenników»”. Nie jest zatem, rzecz jasna, charyzma czymś oderwanym od społecznego kontekstu. Ktoś niezwykle potrzebuje realnego „ludzkiego tła”, które jest dla niego nie tylko polem władczego działania, ale także (a może przede wszystkim) potwierdzeniem jego własnej niezwykłości. Czasem jest to tło jaskrawe, pełne kolorów i znakomicie dopasowane do barwnej osobowości głównego bohatera. Innym razem przedstawia się on w otoczeniu zawistnej i ponurej szarości.

Jednakże postronny obserwator nigdy nie ma kłopotów ze wskazaniem, kto jakie pełni role. Ponadto niektórzy taką mają skłonność, by ludzi wyjątkowych postrzegać jako tych, którzy oprócz własnej niezwykłej osobowości charakteryzują się jeszcze „osobowością historyczną”; że w nich i poprzez nich realizuje się powinność świata; że to oni, wreszcie, swymi poczynaniami dowodzą, że idee naprawdę mają realne konsekwencje (por. Weaver 1996). I przyczyny.

### JEGO WYSOKOŚĆ PISARZ

Swoiste uzależnienie od wybitnej postaci przyjmować może wiele form. Bywają sytuacje, w których (dosłownie) sama tylko czyjaś osoba wzbudza niezrozumiałe dla postronnych uczucia zachwyty i podległości. Niezrozumiałe, gdyż podziw nie podąża tu śladem dokonań, a w każdym razie dokonania te są, obiektywnie rzecz biorąc, wątpliwe. Spójrzmy jednakże na sytuację inną, w której wpływ autorytetu dokonuje się drogą niejako pośrednią, właśnie poprzez dzieła. W dodatku — dzieła literackie. Niech przykład ten posłuży jako wprowadzenie do głównego przedmiotu rozważań, kiedy to już nie sposób będzie oddzielić osobowości od czynów, aktora od sceny, twórcy od tworzywa...

„Nigdy mu nie wybaczę, że wypowiedział to, co — w moim najgłębszym przekonaniu — ja powinienem był wypowiedzieć” (Cioran 1999, s. 126). Tak o Szekspirowskim Makbecie mówił Emil Cioran. Wspomina przy tym pewien okres w swojej biografii, kiedy postanowił, że wyłącznym jego rozmówcą bę-

dzie William Szekspir. Otaczający Ciorana ludzie uważali, że oszalał albo że w najlepszym razie popadł w — niczym nie uzasadnioną, ich zdaniem — megalomanię. Nie chciał z nikim rozmawiać — wszak nikt z nich Szekspirem nie był. Nikt nie miał tego geniuszu i — jak to określał — „braku umiaru”, który u Szekspira uwielbiał ponad wszystko.

Ale przecież i sam Cioran także talentu takiego nie posiadał. I choć, jak powiedział, w napadzie pychy oskarża Makbeta o plagiat (Cioran 1999, s. 125), to najprawdziwszym podziwem napawa go Pisarz, który przybliży czytelnika do mądrości i wiedzy o tym, kim i czym są ludzie. W swej prowokacyjnej decyzji ograniczenia kontaktów z innymi wyłącznie do autora *Makbeta*, bynajmniej nie wołał Cioran o kogoś równego sobie. Jego rozpacz (mniej więcej w tym czasie publikuje swoją pierwszą książkę pt. *Na szczytach rozpacz*) dotyczyła sprawy ogólniejszej. Tu nie chodziło o to, kogo mógłby zaszczyścić swoim towarzystwem. Rzecz dotyczy rozpaczliwej tęsknoty do obcowania z Wielkością. Przecież nie jest winą tych wszystkich dokoła, że są jacy są; nie jest ich winą nawet, że nie potrafią tego rodzaju tęsknych uczuć podzielać. Przysłouchenie kondycją świata i człowieka — oto, co jest przyczyną owej — jak przyznawał Cioran — zwariowanej deklaracji. Właściwie mógłby swoją sytuację, a może w ogóle sytuację, w jakiej znajduje się współczesny ludzki świat, opisać słowami Wiktora Hugo: „To reżim gwałtu i pospolitości. Nie ma się nawet tej pociechy, że uciska nas coś wielkiego” (cyt. za Tocqueville 1987, s. XVII).

Tym zdaniem syn napoleońskiego generała krytykował Ludwika Bonaparte, bratanka wielkiego Cesarza i jego niegodnego następcę. Przede wszystkim dawał jednak wyraz nostalgii za czasami, w których wielu ludzi, jeśli już chyliło głowy, czyniło to nie ujmując niczego własnej dumie. Istnieje jednak potrzeba wiary i pewności zarazem, co do tego, że górujący nad nami istotnie są tego warci; że zasługują na to, by przewodzić, by rozkazywać i wymagać. Spełnienie tej potrzeby z jednej strony zaspokaja pragnienie poczucia wysokiej samooceny „poddanych”, z drugiej natomiast ma być gwarantem pomyślności całej podległej „władcy” społeczności. Kategorie poddanych i władców wzięte zostały w cudzysłów, bo też nie zawsze musi chodzić o dosłowność rządu i podporządkowania. Szekspir władcą jest w sensie metaforycznym i podobnie uległym stał mu się Cioran, choć w jego przypadku metaforycznie traktować można egzystencję w ogóle. Pisarze sprawujący rząd dusz są także, w jakimś sensie, władcami, choć zwykle za życia trudno im się o tym przekonać.

Inaczej sprawa się przedstawia w przypadku tych, którzy owoców swej dominacji kosztować chcą doraźnie, zwłaszcza jeśli są niecierpliwi. Odrzucić trzeba wtedy przerośnięcie i świat potraktować jako jak najbardziej rzeczywisty, ze wszystkimi konsekwencjami podległości i przewodzenia. I o ścisły związek między obiema stronami tej relacji chodzi. Wyłączając buntowników, których nawet w Raju nie zabrakło, celem ma być dobro wspólne i założymy, że jedynie „pod panowaniem” może się pojawić szansa, by ku temu dobru dążyć. Dla-

tego niech przywódca będzie tym, któremu służba nie tylko, że na honorze służących plamy nie czyni, ale im ów honor sprawia, podnosząc ich do rangi... kamerdynerów.

### RODZAJ SŁUŻBY

Trzeba podkreślić, że pojęcie to zostaje tu użyte w sposób wielce wieloznaczny. Oczywiście, że określenie „kamerdyner” nie musi pachnieć pochlebstwem. Ale tu są dwie strony medalu. Po pierwsze, wiele zależy od tego, komu jest się usłużnym, po drugie — jakim człowiekiem jest lokaj. I choć tu także stopniowalnych permutacji mogło by być wiele, postawmy na trzy: 1) nieprzeciętny poddany za zwierzchnika mający oczywistą wielkość; 2) miernota bądź to mający żal do świata, że nie jego słuchają, bądź zazdrośnie strzegący swego miejsca przy wspaniałym panu, bo ono tylko określa jego tożsamość (bądź i jedno, i drugie); 3) kamerdyner przeciętny przy wybitnym władcy. W zasadzie więc to, co różni powyższe warianty to osoba i „jakość” służącego przy jego wyjątkowym pryncypale.

Przykładem pierwszego z tych przypadków może być Cioran bezwzględnie podporządkowujący się wielkiemu twórcy. Można też w tym kontekście przywołać Platona przy Sokratesie, czy młodego Ludwiga Wittgensteina przy Bertrandzie Russellu, a nawet, jak sądzę (*toutes proportions gardées*), św. Pawła.

Wszyscy oni zdają sobie sprawę z wymiaru swoich przewodników. Oczywista jest dla nich wielkość postaci, którym postanowili się w taki czy inny sposób poświęcić. Jednocześnie wielkość mistrzów uświadamia im małość własną. Widzą (przynajmniej na początku...), jak wiele trzeba im, by przynajmniej zbliżyć się do formatu tamtych. I drażni ich fakt, że tak wielu wokół nie chce, nie może, nie jest w stanie dostrzec tego, co widzą oni. Jak można nie pojmować, że trzeba obcować ze światem Szekspira, inspirować się wielkością mądrości, zawierzyć rozumowi, podążać drogą Księgi i Słowa? W rozdrażnieniu pozostając, odsuwają się lub zostają odsunięci od głównego biegu zwykłej codzienności, która z wielkością wiele wspólnego mieć nie chce. I tak sami uznając się za sługi tych postaci wybitnych, które ich przewyższają, zaczynają z politowaniem patrzeć na resztę. Na tych, co rozpoznać niezwykłości nie umieją. Może się przy tym pojawić pokusa myślenia o szczególnej własnej umiejętności, która tym przewyższać ma inne, że pozwala przeczuwać i zawczasu rozpoznawać nieprzeciętność czynów i wielkość postaci. I przy nich trwać. O tyle jest się więc od bliźnich lepszym, że właśnie tę umiejętność się posiadało, nie zaś że samemu jest się wybitnym za sprawą innych jakichś przyczyn.

W drugim przypadku zbliżamy się do Heglowskiej kategorii kamerdynera i „kamerdynerstwa”. „Dla kamerdynera nie ma bohatera [...] — pisze Hegel — ale nie dlatego, że ten nie jest bohaterem, lecz że tamten jest kamerdynerem” (Hegel 2003, s. 52). Taki kamerdyner u boku bohatera znaleźć się może

całkiem przypadkowo. Różne zbiegi okoliczności stawiały pospolitych ludzi w drugim szeregu historii. Bywało i tak, że władcy specjalnie dbali (i dbają) o to, by tacy właśnie, nie wyróżniający się zbyt dużą przenikliwością, lokaje im towarzyszyli. Odmienne zupełnie cechy i sprawności u nich ceniono. Jakkolwiek by było, nie przeszkadza to kamerdynerowi czuć się wybrańcem losu. Prawdą jest, że im większy „kaliber” bohatera, tym większe szczęście tych, co są blisko niego. To może wzbudzać zazdrość odsuniętych. Prawdą jest jednak również, że nie zawsze taki „szczęściarz” uważa swoją sytuację za wyjątkową. „On przecież zdejmuje bohaterowi buty — czytamy u Hegla — pomaga mu przy pójściu do łóżka, wie, iż chętnie pija szampana itd. — Osoby historyczne usługiwane w dziejopisarstwie przez takich psychologicznych kamerdynerów, źle na tym wychodzą; są przez tych swoich kamerdynerów niwelowani, stawiani na jednym poziomie albo raczej o parę szczebli niżej od moralności takich świetnych znawców ludzi” (Hegel 2003, s. 52–53).

Co mogli myśleć o Napoleonie u progu jego epoki generałowie-weterani dowiedziawszy się, że głównodowodzącym ich armii został mianowany ten dwudziestosiedmiolatek? Że śmieszny, że mały, że specjalizuje się w artylerii — nie cenionej wówczas przez nich broni, że bezczelny, a przy tym naiwny? Oczekując swego nowego przełożonego w kwaterze głównej prześcigali się w pomysłach, jak potraktują chłystka, który — o czym byli przekonani — dzięki „spódnickowej protekcji” albo salonowym intrygom zaszedł tak wysoko (Macdonald 1992, s. 8). Ten zaś, gdy wreszcie przybył, przywitał się z nimi oschle, wydał stosowne rozkazy, po czym bez emocji się żegnając, wyszedł, w osłupieniu pozostawiając zasłużonych oficerów. Biograf cesarza, Jean Tulard (2003, s. 85), tę scenę komentuje lakonicznie: „Nawet jeśli legenda upiększyła nieco to spotkanie, ulegli oni autorytetowi Napoleona”. Czy można powiedzieć, że w tej samej chwili stali się, w pewnym sensie, jego „kamerdynerami”?

W rozumieniu heglowskim odpowiedź brzmiałaby: nie! Ale rzecz nie w tym, że nie powinno się z Bonapartego czynić postaci aż tak pomnikowej. Dla jego przeciwników starczy już mnożenia rzekomych dowodów jego geniuszu, w przeciwieństwie do samego Hegla, któremu wielkości Korsykanina nie trzeba było potwierdzać. Więc to heglowskie „nie” wynika z czegoś innego. Otóż, jeśli patrzemy z tej perspektywy, to pytanie zostało źle postawione. Oczywiście, że nie stali się kamerdynerami Napoleona i oczywiście że nie w tej chwili. Po prostu kamerdynerami byli zawsze — to po pierwsze. Spotkanie z „osobnikiem historycznym” (Hegel 2003, s. 51) tę ich cechę, właściwość czy skłonność dopiero obnażyło. Po drugie — nie chodzi o to, że stać by się mieli kamerdynerami „jego”, Napoleona właśnie. W sensie ogólniejszym okazuje się oto, że należą do tych drugich, co historię „współtworzą”; do tych trzecich, czwartych i setnych, co w niej bardziej lub mniej bezwładnie płyną; co mogą mieć szczęście (lub nieszczęście) bycia blisko głównego bohatera na scenie dziejowego spektaklu.

## RZECZYWISTOŚĆ HISTORII

Niezwykle ważne jest porządkowanie sobie rzeczywistości, przypisywanie w myślach należnych wszystkiemu miejsc i definicji. Myliłby się jednakże ten, kto chciałby zastosować te heglowskie kategorie do segregowania świata ludzkiego według prostego podziału na bohaterów i kamerdynerów. Według Hegla, tych pierwszych jest oczywiście stosunkowo niewielu. Istnieje wobec tego pokusa, by całą resztę zakwalifikować do kategorii drugiej. Postacią, która ma niejako reprezentować wszystkich historycznych kamerdynerów, jest — jak chce Hegel — Tersytes. Ten grecki żołnierz został unieśmiertelniony przez Homera dzięki temu, że śmiał przeciwstawić się Agamemnonowi w dziesiątym roku trwania oblężenia Troi. Imię jego oznacza „śmiały” i jednocześnie „bezczelny”. Ale pamiętany jest także jako uosobienie złośliwości, obłudy i fizycznej brzydoty. Tak to ci, którzy ośmielają się nie zgadzać ze zwyczajnymi władcami, są przez historię odzierani nawet z urody. A Hegel pisze o Tersytesie wprost: „...jego zazdrość, jego zarozumiałość jest strzałą, którą nosi w ciele, a nieśmiertelnym robakiem, który go toczy, jest męka, że jego zacne zamiary i poławiania są przecież w świecie całkiem bezskuteczne” (Hegel 2003, s. 53). Postać sama staje się więc mitem, jej postępowanie jest wzorem powielanym w dziejach nawet przez tych, co o *Iliadzie* nigdy nie słyszeli; „jest trwałą figurą po wsze czasy” (Hegel 2003, s. 53).

Ale wróćmy do wspomnianego podziału na wielkich i na „żałosnych” — od razu widać, że potwierdza się jego niejednoznaczność. Zgódźmy się, że Tersytes jest kamerdynerem, że namawia do odwrotu, bo sam lęka się podjąć kolejne ryzyko. Ale czy na tle tego Tersytowego kamerdynerstwa król Myken automatycznie wyrasta na bohatera? On, któremu tak wiele można zarzucić, który oślepiiony jednym dążeniem zdolny był do czynów strasznych? Lecz tu znowu stajemy wobec z dawna kontrowersyjnego dylematu: czyją miarą możemy, jaką powinniśmy oceniać postępowanie ludzi, by wydać o nich sąd adekwatny. Gdyby chodziło o moralny wymiar czynów, osąd byłby być może inny, niż gdybyśmy mieli przyłożyć do nich skalę historyczną. A co, gdy wszystko zdominują założenia natury filozoficznej; gdy przyjmiemy, że na przykład znaczenie dla dziejów ludzkości jest wskaźnikiem doniosłości działań; że stoi za nimi Wielki Plan? A poza tym skąd ma być wiadomo, jakie znaczenie w przyszłości, w wymiarze dziejowym, mieć mogą dzisiejsze posunięcia? Oglądanie się na etyczne aspekty działań może zaszkodzić tylko ich wielkości, a przez to przesłaniać ich długofalowe znaczenie dla ludzkości. Dylematy co do pokrzywdzonych jednostek, grup czy nawet narodów nie przystoją bohaterowi. Tu trzeba kierować się wyłącznie, jak określił to Max Weber (1995, s. 214–215), etyką przekonania. Zastanawianie się, czy konsekwencje nie przerosną terażniejszych zamiarów, bywa nie na miejscu. Nawet jeśli podporządkowanie się jednej podstawowej przyjętej zasadzie moralnej może spowodować niemoralne następstwa, ważniejsze jest dążenie do celu.

Jedną z kontrowersji narosłych wokół Heglowskiej filozofii dziejów jest rozumność i konieczność zdarzeń. Cokolwiek się stało i wszystko, co jeszcze się wydarzy — było, jest i będzie konieczne. Pochód ludzkości ku coraz to wyższym pułapom wolności zrealizować się może tylko dzięki aktywnej roli „osobników historycznych”. A osobnik taki „nie posiada trzeźwości, by chcieć tego lub owego, aby mieć wiele względów, lecz przynależy zupełnie bezwzględnie jednemu celowi. Dlatego zdarza się, że taki osobnik lekkomyślnie traktuje inne wielkie, nawet święte sprawy, a postępowanie takie naraża się oczywiście na moralne zarzuty. Ale taka wielka postać musi zdeptać niejedną kwiat niewinny, musi niejedno zburzyć na swej drodze” (Hegel 2003, s. 53). Agamemnon będzie więc, w tym ujęciu, bohaterem. Hegel przywołuje, jako przykłady, Aleksandra Macedońskiego, Cezara, Napoleona. Bez znaczenia są oczywiście opinie, jakie na temat tych postaci mogli mieć Persowie, Galowie czy Anglicy. Bohaterem historii będzie więc caryca Katarzyna, a nie Rejtan; będzie nim Hitler, nie zaś hrabia von Stauffenberg itd. Zaiste nie musi być łatwym zadanie wytłumaczenia nieuchronności wojen, zbrodni czy obozów zagłady i głoszenie, że wszystko to są rzeczy potrzebne, by tym bardziej wolnym stał się cywilizowany człowiek. Ta swoista teodycea wynika z potrzeby szukania sensu dziejów i wytłumaczenia znaczących jednostek. Przede wszystkim zaś chodzi o wskazanie istoty zła i konieczności oraz roli nieszczęścia. A czy wytłumaczenie zbliża do zrozumienia, to już z inna sprawa. Krytykując ten aspekt myśli Heglowskiej Rudolf Haym pisał: „Nawet teoria o łasce bożej, nawet doktryna o absolutnym posłuszeństwie [...] jest niewinna i nieszkodliwa w porównaniu z tą straszliwą doktryną, która uświęca rzeczywistość jako rzeczywistość” (Kroński 1960, s. 97).

Ale przecież bohaterowie nie muszą być okrutni, nie muszą też negatywnego wydźwięku przybierać ich czyny. Świat, co prawda, kroczy od rewolucji do rewolucji, ale i te rozmaite mają przebieg i charakter. Mają też swoich bohaterów i, rzecz jasna, całe rzesze lokajów, służących, poddanych, adiutantów. Takie określenia padały tu jako swego rodzaju synonimy pojęcia „kamerdyner”. Bardziej chodzi jednak o to, że ono samo ma znaczenie ogólniejsze. Można — jak to zostało już zasygnalizowane — pełnić wysoką funkcję społeczną, polityczną, dworską czy towarzyską, a i tak być kamerdynerem przy kimś, kto *de facto* „dosłownego” służącego nie posiada. Za to może być darzony niekłamanym uwielbieniem i podziwem.

Od początku przyjąłem zatem szersze rozumienie „kamerdynerstwa”. Cecha ta właściwa jest wszak wielu ludziom, którzy jednak — w przeciwieństwie do tego, co podkreślał Hegel — mają swojego bohatera. I to pozytywnego. Nie trzeba hołdować egoistycznym pobudkom i deprecjonować ludzi znaczących. Nie trzeba przedstawiać wielkich dokonań innych osób tak, by pomniejszać ich znaczenie, a swoją podkreślać rolę na przykład w ich ukazywaniu i wyjaśnianiu: „Jakiż bakałarz — pisze Hegel — nie wykazał o Aleksandrze Wielkim, o Juliuszu Cezarze, że ludzie ci poruszani byli przez takie namiętności [żądzę sławy

i podbojów], a przeto byli ludźmi niemoralnymi? Z czego natychmiast wynika, że on, bakałarz jest człowiekiem godniejszym, niż tamci, gdyż takich namiętności nie posiada, czego daje dowód przez to, iż Azji nie podbija, Dariusza, Porusa nie zwycięża, lecz owszem żyje, ale i innym żyć pozwala” (Hegel 2003, s. 52).

Można złożyć trybut własnemu kamerdynerstwu całkowitą poddańczością w stosunku do bohatera. Można każdy z jego czynów, słów, a nawet gestów uznawać za nieśmiertelny. Zwłaszcza że tak wielu innych także podziela ten zachwyty. Bo co do czynów niektórych osób z dużym prawdopodobieństwem powiedzieć można, że ich wymiar jest istotnie historyczny. Nie przypadkiem Hegel wymienia wielkich władców i zdobywców. Im nie można zarzucić, że przeminęli bez znaczenia. Każdy z nich pozostawił po sobie świat zmieniony; każdy skierował historię na nowe tory. A że idzie wyłącznie o świat zachodni i historię tej właśnie cywilizacji? — skoro Hegel się tym zbytnio nie przejmował, to i my na razie to zostawmy. Zresztą można przyjąć, że zmiany na Zachodzie i tak, prędzej czy później, wywierają wpływ na całą ludzkość.

#### KAMERDYNER ROZUMU

Służący wybitnemu człowiekowi postrzega swego władcę przez pryzmat jego pozycji w świecie i własnej przy nim. „Moje przygotowania były krótkie; zachwycała mnie myśl, że będę osobistym sługą tak wielkiego człowieka” (Constant 1972, s. 17). Jedne to z pierwszych słów pamiętnika niejakiego Louisa Wairy Constanta — kamerdynera cesarza Napoleona I. Postać to na tyle interesująca, że warto być może przyjrzeć się jej nieco w kontekście szerszej rozumianego „kamerdynerstwa”.

Constant jest znakomitym przykładem kamerdynera, który nie szuka potknięć swego pana. Nie chce też na jego tle pokazać się światu jako znawca psychologii władzy czy depozytariusz tajemnic innym niedostępnych. Nie podkreśla, ba! nic nie mówi o niezwykłych zaletach własnych, które stać miałyby się przyczyną niebywałego awansu tego syna belgijskiego oberżysty, wcześniej służącego Józefiny Bonaparte. Chyba że za takowe uznać umiejętności balwierskie; dowiadujemy się też, że znakomicie pomagał ubierać się i przygotowywał łożę do spania. Trudno jednakże podejrzewać, że o tego rodzaju talentach swojego nowego lokaja Napoleon dowiedział się od żony. „Pierwszy Konsul przy obiedzie zatrzymał swój wzrok na mnie i, przyjrzawszy mi się długo i uważnie, powiedział: «Nie chciałbyś, młodzieńcze, wyruszyć ze mną na wojnę?». Wzruszony do głębi, odpowiedziałem, że niczego bardziej bym nie pragnął” (Constant 1972, s. 17). Oczywiście, że można przyjąć, że Pierwszy Konsul był aż tak przenikliwy, że poznał się od razu na służącym. Lecz czy świadczyć to ma bardziej o wyjątkowości Napoleona, czy kamerdynera?

Constant jest, by tak rzec, stuprocentowym kamerdynerem, gdy przedstawia swoje relacje z Bonapartem. Cechuje je zawsze bezwzględna uległość, podziw, zrozumienie i zachwyty. Rzecz nie w tym, by miało być odwrotnie, to



byłaby sytuacja iście groteskowa. Lecz poza wielkością Constant u swego pana nie widzi nic. Co u innych byłoby słabością, u Korsykanina jest dowodem siły postanowień; gdzie indziej coś jest brawurą, tu mamy odwagę; co zwyczajowo jest moralnie naganne, u Napoleona stanowi dowód charakteru i zdolności do nieulegania konwenansom; cynizm staje się wielkością uczuć, a manipulacja — odruchem serca. Wcale nie trzeba być przeciwnikiem Napoleona, aby w tych pamiętnikach znaleźć sporo argumentów przeciw jego wielkości. Takich, które Constant przedstawia jako potwierdzenie geniuszu. Bertrand Russell pisał w *Dziejach filozofii Zachodu*: „Nie zgadzam się z Platonem, lecz jeśliby cokolwiek miało mnie przekonać do jego racji, sprawiłyby to argumenty Arystotelesa przeciw niemu” (Russell 2000, s. 232). Tu jest podobnie.

Być może pewnym wytłumaczeniem jest to, co czytamy w przedmowie do *Pamiętników*: „Może punkt obserwacyjny — ze względu na profesję autora wspomnień — jest trochę specyficzny, lecz z pewnością łatwiej z niego dojrzeć (a może i zrozumieć) wiele spraw dla innych niewidocznych” (Constant 1972, s. 16). Dla badaczy zajmujących się socjologią wiedzy czymś oczywistym jest założenie, że wszelka wiedza, jak również wyobrażenia o świecie, miejscu w nim jednostki, zależna jest od kontekstu społecznego. Karl Mannheim, autor dzieła *Ideologia i utopia*, twierdził, że są ludzie, którzy skupiają innych wokół własnych interesów, wokół idei, których są „nosicielami”. I inni właśnie do nich odnoszą swoje postrzeganie świata, według nich się orientują i definiują rzeczywistość. Sama treść tych idei nie jest wtedy tak istotna jak całość tych odniesień. Wówczas mamy do czynienia z ideologią (Mannheim 1992). Constant zdaje się znakomicie wpisywać w taką perspektywę. Cokolwiek Napoleon by zrobił, jakkolwiek podjąłby decyzję, wszystko i tak jest słuszne, przeciwnicy zaś to spiskowcy. A kiedy „określoną definicję rzeczywistości zwiąże się z konkretnym interesem władzy, można ją nazwać ideologią” — jak piszą Peter Berger i Thomas Luckmann w *Społecznym tworzeniu rzeczywistości* (1983, s. 193). O „społecznie uwarunkowanej atmosferze” pisze z kolei Karl Popper wskazując, że to ona właśnie decydujący wywiera wpływ na rozwój myślenia. Zwłaszcza myślenia na temat spraw społecznych i politycznych.

W przypadku Constanta przez wszystkie lata służby, między rokiem 1800 a 1814, ta ideologia nazywała się: Napoleon! W jaki sposób ten cesarski kamerdyner definiował sobie rzeczywistość i jakie w tej definicji dominowały treści, najlepiej odzwierciedlają sprawy, którym w swoim pamiętniku poświęca miejsca najwięcej. Najbardziej też go rozpalają, gdy je przywołuje i próbuje objaśniać. W jego przypadku owa „społecznie uwarunkowana atmosfera” jest klimatem dworu, którego życie, oderwane od spraw dziejących się poza nim, skupia się wokół osoby władcy. Mamy zatem niemalże wyliczankę cesarskich miłostek, zawsze jednak, trzeba przyznać, z zachowaniem anonimowości pań, identyfikowanych inicjałem. Choć, jak można sądzić, współcześni autorowi czytelnicy z pojedynczych liter czytali więcej: „W 1804 roku Jej Cesarska Wysokość miała u siebie młodą lektorkę, pannę E. Była to wysoka, szczupła, dobrze zbu-

dowana brunetka o pięknych czarnych oczach, żywa i bardzo zalotna. Mogła mieć 17–18 lat” (Constant 1972, s. 81). Nie mogło też być wątpliwości, gdy Constant pisał: „syn pięknej Polki” (Constant 1972, s. 82). Ujawniają się tu jego skłonności, żeby jednak pokazać, pochwalić się, ile wie, i że jest w posiadaniu pewnych informacji, innym niedostępnych.

Najwięcej chyba uwagi lokaj poświęca jednak toalecie i garderobie. Ale nie są to zwyczajne opisy tego, jak władca wyglądał, co lubił, a czego nie cierpiał nosić (choć to także). Tu zwraca uwagę isticie, nazwijmy to, kamerdynerski styl. Nie złośliwy i pełen zawiści jak chce Hegel, ale w inny sposób spełniający tę klasyfikację: uniżony do granic możliwości. „Na początku Cesarz nie nosił szelek, ale potem się do nich przyzwyczał i bardzo je chwalił. Na ciało wkładał kaftanik z angielskiej flaneli. Cesarzowa zamówiła mu na lato dwanaście kaftaników z kaszmiru” (Constant 1972, s. 62). Ileż w zdaniach tych zachwytu! A przecież są wcale niewinne. Za to portret Napoleona nakreślony przez jego kamerdynera jest isticie... miłośny. Kamerdyner pisze: „Cesarz miał czoło bardzo wysokie, odkryte, włosów mało, zwłaszcza na skroniach, ale były one ciemnoblond, jedwabiste i bardzo delikatne; miał oczy jasnoniebieskie, w których — w sposób wprost niewiarygodny — odmalowywały się wszystkie uczucia, jakie go ogarniały: to były dobre i łagodne, to surowe i nawet nieubłagane. Usta miał ładnie wykrojone, nieco zaciśnięte [...]. Greckiej linii nosa nie dało się nic zarzucić, oddech był czysty, cała postać nadzwyczaj foremna, a jednak w owym czasie, wskutek tej niezwyklej chudości, która nadawała jego twarzy mało przyjemny wyraz, trudno było dostrzec piękno w tych rysach. Trzeba by było rozpatrywać każdy z nich oddzielnie, aby pojąć jak regularną i uroczą tworzyły całość. [...] Uszy cesarza były małe, również bardzo kształtne i ładnie umieszczone. Także i stopy miał wrażliwe, jego buty i buciki kazałem rozchadzać chłopcu garderobianemu, Józefowi, bo miał takie same nogi. Cesarz był wysoki na pięć stóp, dwa cale i trzy dwunaste [...], uda i nogi zgrabne, stopy małe, palce dobrze rozstawione, wolne od odcisków i nagniotków. Jego ramiona były kształtne i dobrze osadzone, dłonie piękne z równie pięknymi paznokciami” (Constant 1972, s. 39–40). Po chwili kamerdyner dodaje, że w chwilach zniecierpliwienia lub zamyślenia Cesarz często przygryzał paznokcie. Ale pewnie i to czynił pięknie. Gdzie indziej służący zauważa: „Wierzchowce Cesarza musiały przejść ciężką szkołę, zanim doznały zaszczytu dźwigania go na sobie” (Constant 1972, s. 54). A na przykład gazele, choć wobec innych ludzi były dzikie, „do Cesarza podchodziły bez lęku” (Constant 1972, s. 59).

Tego rodzaju opisy mogą być usprawiedliwione bądź to rzeczywistym uwielbieniem i szacunkiem przekraczającym zwyczajny podziw, bądź też celem propagandowym. Tytułem dygresji warto nadmienić, że wielu wielbicieli Józefa Piłsudskiego zżyma się przeglądając biografię swojego bohatera, opublikowaną w 1935 r. Oto jedna z zamieszczonych tam fotografii opatrzona została objaśnieniem: „Dwaj bracia, młodszy Józef (siedzi) i Bronisław Piłsudscy, w latach dziecięcych. Uderza twarz małego Ziuka — skupiony i energiczny, uderza spo-

sób ułożenia nóg i nawet sam fakt, że młodszy brat siedzi a starszy stoi” (Piłsudski 1935, s. 14). W reakcji na takie komentarze można by wykrzyknąć, że rzeczywistość nie istnieje. Choć bardziej odpowiednim byłoby stwierdzenie, że nie ma jednej rzeczywistości. Oto wszystko: słowo, gest, spojrzenie, nawet najdrobniejszy szczegół może potwierdzać przyjęte przekonanie o wyjątkowości postaci, od której jest się uzależnionym. Wszystko zależy od siły interpretacji, przywiązaniu do niej i uczynienia z niej opisu świata.

Najbardziej niezwykle wydaje się jednak podejście Constanta do tego, co historycznie świadczy o wielkości Napoleona: zdolności przywódcze, zręczność polityczna, determinacja w realizowaniu ambicji, geniusz wojskowy. To, w zasadzie, dla kamerdynera nie istnieje. Z pewnością, jako jeden z nielicznych mających taką szansę, pozwala nam zobaczyć coś, co nie dane było oglądać innym oczom. Zdziwiał jednak, iż on sam nie dostrzegał tego, co musiało widzieć i wiedzieć wielu innych, i tu czytelnik żał odczuwać może do autora wielki, że tych aspektów nie uzupełnia, nie poszerza, nie komentuje. Skupia się za to na zagadnieniach istotnych dla... kamerdynera. Na przykład o spotkaniu Napoleona z carem Aleksandrem w Erfurcie, dowiadujemy się tyle, że władca Rosji zapałał namiętnością do pewnej panny B., aktorki, i że podarował cesarzowi trzy sobolowe futra (Constant 1972, s. 114–116). Ale zawiedzie się, kto oczekiwałby jakichś przynajmniej wzmianek o kulisach tego typu spotkań, o przygotowaniach od strony dyplomatycznej, o tym, co mówiło się w otoczeniu monarchów. Na to wszystko Constant jest głuchy i ślepy. Drobiazgowo za to opisuje losy wspomnianych futer (notabene jedno z nich znakomicie przydało się Bonapartemu cztery lata później, w Rosji). Później pisze między innymi o tym, że dowiedziawszy się o planowanym wyjeździe do Holandii zajął się przygotowaniem. I dalej: „W czasie pobytu ich Cesarskich Mości w Amsterdamie ustawiono w gabinecie cesarzowej pianino tak zbudowane, by sprawiało wrażenie sekretery przedzielonej w połowie. W tym wgłębieniu umieszczono małe popiersie cara Rosji. W parę chwil po przyjeździe Cesarz, chcąc zobaczyć, czy cesarzowa została wygodnie ulokowana, wszedł do pokoju i zobaczył owo popiersie. Bez jednego słowa zdjął je i wsadził sobie pod pachę. Później powiedział jednej z dam dworu, że chce, aby to popiersie zabrano” (Constant 1972, s. 188). W ten sposób kompletnie nieświadomy autor pamiętnika zapowiedział marsz na Rosję. I tylko tyle na temat przyczyn pogorszenia się stosunków z Aleksandrem. Jednak rozczarowanie sięga zenitu, gdy Constant pisze o najbardziej krwawej batalii doby napoleońskiej — bitwie pod Borodino (nazywanej przez Francuzów bitwą nad rzeką Moskwą). Pisze oto o radości cesarza, który po kilkumiesięcznym pochodzie wreszcie może zmierzyć się z rosyjską armią. Warto zacytować ów fragment bez cięć: „I tu Cesarz z wielkim zadowoleniem stwierdził, że Rosjanie gotowi są przyjąć bitwę, przedmiot jego gorących pragnień, za którym gonił przez ponad dwieście mil, jak za łupem, co mu już ująć nie może. Nazajutrz po bitwie nad rzeką Moskwą byłem przy Cesarzu w jego namiocie, ustawionym na samym polu walki. Cesarz zdawał się padać ze zmę-

czenia” (Constant 1972, s. 201). Niczym kolejny wpis w kalendarzu, ot: bitwa się odbyła. Po prostu.

Constant zdaje się żyć wyłącznie dworem i oczekiwaniem na to, czy przynieść już kurczaka swojemu panu; czy będzie chciał pójść na koncert czy na przedstawienie, albo czy wyjdzie ze swojej sypialni punktualnie o dziewiątej, czy może minutę wcześniej. Wspominając zaś jedną z bitew, jeszcze sprzed kampanii rosyjskiej, martwi się tym, że gdy walka się przedłużała, cesarz zapominał o obiedzie i jadł dopiero po powrocie albo „zawoziło mu się — chociaż tego nie żądał — kromkę chleba i trochę wina” (Constant 1972, s. 86–87).

Niewątpliwie wszystkie tego rodzaju sytuacje przywoływane przez Constanta mają swoje walory poznawcze dla miłośników Napoleona. Co jadał, co lubił pić, jaką i ile kawy, jakie i w jakich ilościach wino, czym wyróżniała się jego bielizna. Wiadomości na temat kulisów życia prywatnego znanych osób zawsze znajdują amatorów. Stanowią także źródło informacji dla historyków czy badaczy dziejów obyczajowości. Trudno jednakże wyobrazić sobie satysfakcję kogoś, kto sięgnąłby po pamiętniki samego Napoleona Bonaparte, tego — jak nazwał go Hegel — „Rozumu na koniu” (Szacki 2002, s. 208), i znalazł tam podobne rewelacje. Rozczarowanie musiałyby być przeogromne. Oczywiście, że po to mowa tu przede wszystkim o kamerdynerze i kamerdynerstwie, by myśl o podobnym pamiętniku cesarza uczynić tym bardziej nieprawdopodobną. Także po to są kamerdynerzy, by ich panowie nie pisali podobnych rzeczy. Zwłaszcza że będąc prawdziwymi panami, pewnie i tak by ich nie pisali, bo o wielkości inne decydują walory. Karl Mannheim twierdził, że nie istnieje myśl ludzka, która byłaby odporna na ideologizujący wpływ kontekstu społecznego (Mannheim 1992, s. 2). Można więc spróbować zrozumieć Constanta, biorąc pod uwagę jego sytuację.

#### OCZY SZEROKO ZAMKNIĘTE

A może ten kamerdyner wcale nie był ślepy, ani głuchy? Bo jak można widzieć i słyszeć coś, co nie istnieje? Bywają ludzie, którzy przy doborze towarzyszących sobie osób kierują się wyłącznie jednym kryterium: uwielbieniem, jakim tamci ich darzą. Gdyby to tylko miało kierować Napoleonem, kamerdynerów (tych dosłownych) musiałyby mieć całe armie. Przynajmniej w czasach największych tryumfów. Zaryzykujemy hipotezę, że Constanta, choć historycy wiedzą o nim niewiele, musiało wyróżniać coś jeszcze. W czasie swojej służby towarzyszył cesarzowi we wszystkich jego politycznych podróżach, był blisko niego na każdej z wojen i oczywiście w czasie pokoju w Paryżu. Ale w jego pamiętniku postać w owych czasach niezwykła, barwna, ważna i wpływowa, Charles Talleyrand pojawia się tylko raz. Dowiadujemy się mianowicie, że zdrzemnął się w pokoju cesarza, gdy ten w trakcie spotkania z ministrem raczył wcześniej usnąć. Może więc na tym polegał talent osobliwy Constanta, że nie widział, ani nie słyszał, czego nie powinien, i wcale nie z powodu wrodzonej dyskrecji.

Może to w nim Napoleon sobie upodobał, że będąc nawet mimowolnym świadkiem ważnej rozmowy kilku osób, kamerdyner zwróci uwagę przede wszystkim na krój ich fraków. Jeśli tak miałyby być w istocie, ignorancja służącego sięga znacznie dalej. Nie tylko o Talleyrandzie czy o Borodino nie ma nic do powiedzenia. Dramat odwrotu spod Moskwy w zasadzie także nie istnieje. Polski czytelnik zainteresuje się pewnie również „epizodem hiszpańskim”. Ale i tu Constant pozostaje sobą: „Cesarz pozostawał w Burgos dziesięć czy dwanaście dni, a potem dał rozkaz marszu na Madryt. Można było tam iść przez Valladolid; ta droga była nawet ładniejsza i bardziej pewna, ale Cesarz chciał zdobyć przełęcz Samosierra, pozycję imponująco ufortyfikowaną przez samą naturę i zawsze uważaną za nie do zdobycia. 29 listopada wieczorem przybyliśmy do wsi Basaguillas, położonej o trzy mile od tej groźnej przełęczy. Było bardzo zimno, a jednak Cesarz się nie kładł; całą noc pisał w swoim namiocie, otulony w futro, które podarował mu car Aleksander. O ósmej rano pozycja Hiszpanów została zaatakowana i zdobyta. Nazajutrz stanęliśmy pod Madrytem” (Constant 1972, s. 125). Zawdzięczamy mu za to wyczerpujące charakterystyki obu małżonek cesarza, ich upodobań, toalet, stosunku do służby i harmonogramy dnia codziennego.

Czasem jednak potrafi zaskoczyć, choć nie wiadomo, czy celne zdanie jest rzeczywiście pewną złośliwością (taką przynajmniej chciałoby się mieć nadzieję), czy mamy do czynienia zaledwie z przypadkowo zanotowaną frazą. Chodzi o słowa dotyczące Marii Ludwiki: „Wiodła życie bardzo proste; odpowiadało ono jej charakterowi” (Constant 1972, s. 183). Gdy Churchill o pewnym polityku powiedział: „to bardzo skromny człowiek i ma po temu wiele powodów” — nie było wątpliwości co do intencji autora. Kolejna to różnica między kamerdynerem a bohaterem.

Zaskoczyć potrafi jeszcze w inny sposób, zupełnie się przy tym sprzeniewierzając wizerunkowi samego siebie, jaki metodycznie przez większą część pamiętnika przedstawia. Oto jednak potrafi dowiedzieć się i podzielić z czytelnikiem treścią poufnej wiadomości, jaką cesarz otrzymał myśląc o obronie Paryża w 1814 r. I choć korespondencja to raczej błaha, świadczyć mogłaby jednak o pewnym zainteresowaniu Constanta sprawami politycznymi i nieoficjalnymi. Rychło jednak „wraca do formy” i kontynuuje swoją kamerdynerską opowieść. Pozwala sobie też czasem na podkreślenie zasług własnych. Jeśli czyni to kosztem innych, zawsze są to inni kamerdynerzy. Nie potrafi też odmówić sobie przyjemności podkreślenia swojego wpływu, jaki miał na cesarza. Nawet jeśli sprowadzał się on do nauczenia Napoleona samodzielnego korzystania z brzytwy przy goleniu. Warto skądinąd zestawić to, co pisał Constant, z *Pamiętnikami Filipa Pawła de Ségura, adiutanta Napoleona*. Zupełnie inna to relacja, z innej podana perspektywy, choć wciąż jeszcze — lecz w jakże odmienny już sposób — „kamerdynerska” (de Segur 1982).

Istnieje oczywiście i taka możliwość, że Constant wcale nie był ani był ślepy, ni głuchy, tylko celowo nie pisał o rzeczach, które, jego zdaniem, nie powinny

obchodzić czytelnika, a jeśli nawet, to z jakichś powodów on będzie tych informacji strzegł. A być może „czytelnik modelowy” jego wspomnień, zdaniem autora, czekał właśnie na takie fakty, opisy i szczegóły, w jakie książka obfituje. Może liczył, że wobec ogromnej liczby pamiętników, które pojawiły się w XIX wieku, jego będzie się wyróżniał właśnie tym, co tutaj jest określone mianem kamerdynerstwa. Perspektywa socjologiczna każe brać pod uwagę nie tylko predyspozycje osobiste, cechy charakteru, wielkość zamierzeń i skłonność do uporczywości przy ich realizacji — tak w przypadku historycznych bohaterów, jak i kamerdynerów. Powodzenie tych pierwszych zależało oczywiście od wszystkich tych cech indywidualnie, ale równie istotny był czas i miejsce, w jakim musieli się pojawić ludzie wielcy i ambitni. Zawsze wtedy pojawiają się także i lokaje, jak również ci, co ambicji stają na przekór. Hegel podkreślał socjologiczny aspekt filozofii dziejów. Cokolwiek jednostka czyni, ma szansę na powodzenie swoich zamiarów wyłącznie działając w ramach narodu, który wysuwa się właśnie na pierwszoplanowe miejsce w historii. To zaś nie może się ludziom udać, jeśli nie zostaną zorganizowani w najwyższą formę społeczeństwa, jaką jest państwo. Podstawową więc sprawą jest kontekst społeczny, w jakim działają i opisują świat aktywne jednostki.

#### INNY ŚWIAT

„Środowisko społeczne myśliciela — pisze Karl Popper — jest tym, co określa cały system przekonań i teorii, które jawią się jako niepodważalnie prawdziwe, czy same przez się oczywiste. Przedstawiają mu się one tak, jak gdyby były logiczne i po prostu prawdziwe, na wzór — powiedzmy — zdania «wszystkie stoły są stołami». To dlatego właśnie myśliciel nie zdaje sobie sprawy z tego, że w ogóle dokonał jakichś założeń. Że zaś dokonał ich, można stwierdzić, porównując go z myślicielem, który żyje w zupełnie innym środowisku społecznym, jako że ten drugi również będzie wychodził od systemu w oczywisty sposób niepodważalnych założeń, tyle że od całkowicie innego; systemy te mogą być tak dalece różne, że nie będzie pomiędzy nimi żadnego pomostu intelektualnego, żadnej możliwości kompromisu. Każdy z takich różnych, społecznie uwarunkowanych systemów założeń nazywany jest przez socjologów wiedzą ideologią całościową” (Popper 1985, s. 427–428). Popper pisze tu o myślicielu, ale rzecz, jak się zdaje, dotyczy szerokiej rzeszy ludzi.

Jest więc jeszcze jedna możliwość. Ta nie wyklucza wszystkich innych dających się jeszcze pomyśleć wytłumaczeń ewentualnych zarzutów wobec Constanta czy prób zrozumienia jego sposobu widzenia i oceniania rzeczywistości. Otóż, jak wiadomo, posługiwał on Napoleonowi przy codziennych, podstawowych czynnościach, takich jak ubieranie, podawanie posiłków, ścielenie łóżek, wynoszenie świec. Jednakże gdy cesarz podjął decyzję opuszczenia swojej armii podczas zimowego odwrotu z Rosji, kamerdyner miał wyruszyć tuż za nim. Piszę „jednakże”, bo mogłoby się wydawać, że (zwłaszcza w warunkach

tego odwrotu) ważniejsze powinny być inne sprawy i inne osoby. Constant zaś wspomina: „chciałem mu zapewnić to wszystko, do czego przywykł [...]. Wyjechałem nazajutrz zaopatrzony w rozkaz księcia Neufchâtel, mocą którego to rozkazu miano mi na całej drodze dawać konie przed wszystkimi innymi jadącymi” (Constant 1972, s. 213–214). Gdzie indziej natomiast wspomina pewnego cesarskiego posłańca słowami: „Pułkownik ruszył z miejsca galopem, nawet bez śniadania” (Constant 1972, s. 240). W tym zdaniu zawarty jest podziw, uznanie dla poświęcenia oddanego człowieka. Poświęcenia, które — co tu dużo mówić — jest raczej „takie sobie”, zwłaszcza wobec ogromu i rangi zadań, jakie stawały przed całymi armiami (zwłaszcza w Rosji).

Zapewne, mamy tu do czynienia z konfrontacją różnych wyobrażeń o tym, co jest, co powinno być ważne, doceniane i podziwiane, a co ganione. Takich „kontrowersyjnych” sytuacji w pamiętniku jest wiele, ale niech te dwie będą przykładem tego, w jakże innym świecie, odmiennym od naszego świata XXI wieku poruszali się ludzie tamtej epoki. Powinienem może raczej pisać o zderzeniu rzeczywistości: z jednej strony Constanta, z drugiej — piszącego te słowa? Lecz to zawsze i tak są całe światy, bo wszyscy zawsze zależni jesteśmy od kontekstu społecznego, ekonomicznego, politycznego, od kultury, tradycji, doświadczeń i wyobrażeń. Rzeczywistość taka, jaką przedstawia nam Louis Wairy Constant, nie jest obrazem osiemnastowiecznej Europy. Nie oddaje też atmosfery otoczenia Pierwszego Konsula i potem cesarza Napoleona Bonaparte. Jest zapisem wizji tamtej rzeczywistości zawsze różnej od naszych o niej wyobrażeń i różnej od naszych definicji współczesnego świata. Może konstatacja to banalna, ale warto pamiętać, że każdy banał wart jest wypowiedzenia, bo okazać się może, że kryją się za nim prawdy, które dobrze jest przemyśleć. Constant uczy nas dzisiaj, jak złudna być może skłonność mierzenia własną miarą poczynań ludzi wielkich i tych mniejszych. Zwłaszcza gdy funkcjonują oni w tak odmiennym kontekście kulturowym i historycznym.

\*

Można powiedzieć, że *Pamiętniki kamerdynera cesarza Napoleona* wręcz należy odczytać w kontekście zaproponowanych przez Hegla kategorii kamerdynera i bohatera historii. Pierwszy znakomicie wpisuje się w „swoją” rolę, chociaż ograniczenie się do pierwotnego znaczenia pojęcia „kamerdyner”, przedstawionego w *Wykładach o filozofii dziejów*, byłoby, jak sądzę, dla Constanta krzywdzące. Wyjście „poza Hegla” jest jednocześnie sposobem wykorzystania stworzonego przez niego określenia do interpretacji wizji świata przedstawionej w *Pamiętnikach*. Posłużyło też próbie zrozumienia samego autora tej wizji. Patrzenie na epokę jego oczami ze świadomością, że oprowadza nas po jej korytarzach, salonach i polach „kamerdyner historii” (w szerszym znaczeniu), może sprzyjać większej pokorze przy wystawianiu ocen tamtym czasom i ferowaniu wyroków dotyczących osób tworzących ówczesny świat.

Wychodzenie „poza” Hegla ma jeszcze jedną funkcję. Pozwala, z zastosowaniem jego pojęć, przyjrzeć się niektórym współczesnym sytuacjom społecznym. Relacje podległości i dominacji zdają się nabierać różnych treści, jeśli umieści się je w szerszym kontekście; jeśli okaże się, że pewne pojęcia są w stanie pomóc nam opisać i pojąć to, co nas otacza i w czym sami uczestniczymy. Śmiem twierdzić, że umieszczenie na przykład fascynacji literackich tuż obok lub nawet w centrum pewnej wielkiej wizji filozoficznej może czynić z tych fascynacji coś więcej niż sposób na życie. Literatura staje się na powrót rzeczywistością z pisarzem w roli jej głównego kapłana. Przykładem takiego właśnie wiernego wyznawcy miał być „wprowadzający” przypadek Emila Ciorana.

Rzecz nie w tym (nie tylko w tym...), by od razu zastanawiać się nad rolą poszczególnych jednostek — pisarzy, królów czy filozofów, a być może i nas samych — w wypełnianiu wielkiego planu Ducha Dziejów. Zresztą najbardziej „chytrym” okazuje się on w stosunku do ludzi naprawdę wielkich. Pozostali zadowolić się muszą złudzeniem, że rozpoznają jego kolejne kierunki i „wcielenia”. W jednym z listów Hegel pisał: „Utrzymuję, że duch światowy rzucił naszym czasom rozkaz: Naprzód! Ten rozkaz jest wykonywany. Duch światowy kroczy nieodparcie jak zwarta pancerna falanga, a idzie naprzód tak niedostrzegalnie, jak słońce na nieboskłonie, nie zważając na żadne przeszkody. Na jego skrzydłach toczą bezładne potyczki lotne oddziały hamując i wspomagając jego pochód; większość w ogóle nie wie o co chodzi, i dostaje po łbie jak od niewidzialnej ręki” (cyt. za Kroński 1960, s. 96).

#### BIBLIOGRAFIA

- Berger Peter L., Luckmann Thomas, 1983, *Spoleczne tworzenie rzeczywistości*, tłum. Józef Niznik, PIW, Warszawa.
- Cioran Emil, 1999, *Rozmowy z Cioranem*, tłum. Ireneusz Kania, Wydawnictwo KR, Warszawa.
- Constant Louis Wairy, 1972, *Pamiętniki kamerdynera cesarza Napoleona I*, tłum. Tadeusz Ewert, Czytelnik, Warszawa.
- Hegel Georg Wilhelm Friedrich, 2003, *Wykłady z filozofii dziejów*, tłum. Adam Zieleńczyk, De Agostini–Altaya, Warszawa.
- Józef Piłsudski 1867–1935, 1935, Małopolska Oficyna Wydawnicza, Kraków.
- Kroński Tadeusz, 1960, *Rozważania wokół Hegla*, PWN, Warszawa.
- Macdonald Archibald Gordon, 1992, *Napoleon i jego marszałkowie*, tłum. Feliks Rutkowski, Puls, Londyn.
- Mannheim Karl, 1992, *Ideologia i utopia*, tłum. Jan Miziński, Test, Lublin.
- Popper Karl R., 1985, *Socjologia wiedzy*, tłum. Andrzej Chmielecki, w: *Problemy socjologii wiedzy*, Andrzej Chmielecki i in. (oprac.), PWN, Warszawa.
- Russell Bertrand, 2000, *Dzieje filozofii Zachodu i jej związki z rzeczywistością polityczno-społeczną od czasów najdawniejszych do dnia dzisiejszego*, tłum. różni, Aletheia, Warszawa.
- Séгур Philippe-Paul de, 1982, *Pamiętniki Filipa Pawła de Ségura, adiutanta Napoleona*, tłum. Emilia Leszczyńska, Wydawnictwo MON, Warszawa.
- Szacki Jerzy, 2002, *Historia myśli socjologicznej. Wydanie nowe*, PWN, Warszawa.



- Tocqueville Alexis de, 1987, *Wspomnienia*, tłum. Aleksander Wit Labuda, Ossolineum, Wrocław.
- Tulard Jean, 2003, *Napoleon — mit zbawcy*, tłum. Katarzyna Dunin, Świat Książki, Warszawa.
- Weaver Richard M., 1996, *Idee mają konsekwencje*, tłum. Barbara Bubula, Wydawnictwo Profesjonalnej Szkoły Biznesu, Kraków.
- Weber Max, 1995, *Szkice z socjologii religii*, tłum. Jerzy Prokopiuk, Henryk Wandowski, KiW, Warszawa.
- Weber Max, 2002, *Gospodarka i społeczeństwo. Zarys socjologii rozumiejącej*, tłum. Dorota Lachowska, PWN, Warszawa.